

Witold Dzielski, Wojciech Michnik: Religia w polityce zagranicznej USA – na przykładzie prezydentury George’a W. Busha

Stopniowo administracja Busha opracowywała strategię bezpieczeństwa narodowego, w której wątki religijny i mesjanistyczny były doskonale widoczne



Stopniowo administracja Busha opracowywała strategię bezpieczeństwa narodowego, w której wątki religijny i mesjanistyczny były doskonale widoczne - przeczytaj tekst z 4. numeru Teologii Politycznej

Amerykanie to wolny naród, który zdaje sobie sprawę z tego, że wolność należy się każdemu człowiekowi i jest przyszłością wszystkich narodów. Wolność, o której mowa, nie jest amerykańskim darem dla świata, jest raczej darem Boga dla ludzkości. (Aplauz)

My, Amerykanie, wierzymy w siebie, ale nie tylko w siebie. Nie znamy ani nie rościmy sobie prawa do poznania ścieżek przeznaczenia, lecz możemy w nie wierzyć dzięki naszemu zaufaniu w kochającego Boga, twórcę życia i całej naszej historii[1].

Stany Zjednoczone, pozostające od końca II wojny światowej najbardziej wpływowym globalnym supermocarstwem, zaprzeczają głoszonej swego czasu przez Karola Marksa idei, że religia w życiu publicznym to jedynie pewnego rodzaju atawizm, od którego wraz z rozwojem nauki i postępem materialnym „ludzkość zostanie wyzwolona”[2]. Trudno w rzeczywistości, szczególnie teraz, za panowania rządów administracji George’a W. Busha, nie dostrzegać doniosłego znaczenia Boga w życiu publicznym USA[3]. Dla obecnego prezydenta religia oraz retoryka religijna odgrywa bowiem niezwykle istotną rolę w procesie formułowania polityki zagranicznej.

Jednakże kwestia relacji między polityką a sferą religii w USA jest bardziej niejednoznaczna niż wskazują to zarówno zwolennicy, jak i krytycy obecności Boga w amerykańskiej przestrzeni publicznej. Świadectwem tego są trzy następujące kwestie. Po pierwsze, pisząc o religii oraz jej roli i wpływie na politykę Stanów Zjednoczonych, dokonujemy dużego uproszczenia. Powszechnie bowiem wiadomo, że amerykańskie spektrum religijne jest nadzwyczaj zróżnicowane. W społeczeństwie amerykańskim, w którym panuje formalny rozdział religii od państwa, mamy do czynienia nie tyle z religią, ile z religiami. Natomiast, jak niektórzy są skłonni sugerować, jedyną dominującą religią jest jej świecka, uniwersalistyczna odmiana nazywana religią obywatelską. Jej esencję najlepiej oddają ostatnie wersy hymnu amerykańskiego „Gwiaździsty sztandar” autorstwa Francisa Scotta Key’a:

Błogosławiony zwycięstwem i pokojem, przez niebiosy uratowany kraj

Niechaj sławi moc, która stworzyła i uchwalała nas jako naród.

Wtedy będziemy musieli walczyć, bo nasza sprawa słuszna

A to niech będzie nasze motto: „W Bogu pokładamy ufność”.

I gwiaździsty sztandar niech triumfalnie powiewa

Ponad krajem wolnych i ojczyzną dzielnych ludzi!

Należy w tym miejscu dodać, za Walterem McDougalem, że to amerykańskie *credo* – bez względu na to czy wyprowadza się je z wiary w Boga, w ideały oświeceniowe, czy wynikają one z obu tych rzeczy – jest postrzegane przez Amerykanów jako ważne i obowiązujące dla całej rasy ludzkiej[4].

Po drugie, nawet jeśli by założyc, że najliczniejsza religia w Stanach Zjednoczonych – chrześcijaństwo (około 75% pełnoletnich Amerykanów określa się mianem chrześcijan)[5] – odgrywa wyjątkową rolę w kształtowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej, nie przybliżyła nas to do sedna problemu, który tkwi w niesamowitej wręcz fragmentaryzacji grup wyznaniowych. Protestantyzm, którego ten problem szczególnie dotyczy, we współczesnych Stanach Zjednoczonych można podzielić na wiele odmian, spośród których trzy stanowią najbardziej dominujące tradycje: 1. surową, restrykcyjną, zwaną często fundamentalną; 2. postępową, liberalną; 3. ewangelicką[6]. Żadna z tych odmian nie zdobywa wśród protestantów wyraźnej przewagi na dłuższą metę. Można wręcz mówić o swoistej konkurencji pomiędzy nimi, którą ostatnio wygrywają ewangelicy. Jak jednak podkreśla Walter Russell Mead, „byłoby błędem przywiązywać nazbyt dużą dokładność do tego podziału. Większość amerykańskich

chrześcijan miesza idee teologiczne i społeczne tych oraz innych form myśli chrześcijańskiej nie przejmując się nazbyt wymogami spójności”. Opinia ta celnie oddaje trudność w formułowaniu jakiegokolwiek generalizacji na temat oddziaływania religii na politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych.

Po trzecie, wpływ religii na politykę zagraniczną jest często wyolbrzymiany, głównie za sprawą debat ideologicznych. Po zakończeniu zimnej wojny mamy do czynienia ze wzrostem znaczenia religii zarówno na świecie, jak i w samych Stanach Zjednoczonych. Nie oznacza to jednak, że wzrost ten ma wprost proporcjonalne przełożenie na poglądy obywateli na politykę zagraniczną. Na przykład według badań amerykańskiej opinii publicznej w 2003 roku tylko 10% Amerykanów było zdania, że przekonania religijne wpłynęły na ich poglądy na wojnę z Irakiem[7]. Świadczyć to może o tym, że w ostatecznym rozrachunku, jeżeli koszty ludzkie i finansowe mesjanizmu amerykańskiego są zbyt wysokie, to pobudki idealistyczne przegrywają z chłodną kalkulacją charakterystyczną dla reguł tzw. *Realpolitik*.

Pomiędzy teorią a praktyką

Podjmując refleksję nad udziałem religii w procesie formułowania polityki zagranicznej USA nie sposób pominąć aspektu formalnoprawnego. Prawodawstwo amerykańskie, w tym konstytucja, do której Amerykanie mają podejście niemal religijne, opiera się na całkowitej separacji państwa od wpływów Kościoła. W żadnym punkcie tego dokumentu nie pojawia się zapis dotyczący znaczenia sfery religijnej w życiu publicznym państwa. Wręcz przeciwnie, w artykule VI

konstytucji zaznaczono, że „objęcie jakiegokolwiek urzędu lub stanowiska państwowego w Stanach Zjednoczonych nie będzie uzależnione od złożenia oświadczenia dotyczącego przynależności do jakiegokolwiek wyznania”, a w tzw. Karcie Praw, stanowiącej pierwsze dziesięć poprawek do ustawy zasadniczej USA, zapisano, że „Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię albo zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych”.

Kościoły oraz hierarchowie Kościołów od początku państwowości amerykańskiej zazwyczaj pozostają mało widoczni w szerokiej debacie publicznej. Alexis de Tocqueville, jeden z najbardziej uznanych badaczy spraw społeczeństwa i demokracji amerykańskiej w XIX wieku, tłumaczył, że księża w USA trzymają się na uboczu spraw publicznych. Fenomenem tego państwa jest bowiem to, że religia tworzy odrębny świat, w którym kapłan panuje, ale z którego stara się nigdy nie wychodzić. W granicach tego świata przewodzi umysłem, ale poza nim pozostawia ludzi samym sobie, ich niezależności i zmienności, które są żywiołem ich czasów[8].

W mediach amerykańskich trudno zatem, choć także od tej reguły są wyjątki, dostrzec hierarchów Kościoła, którzy wypowiadają się o bieżących sprawach polityki. Natomiast debaty publiczne, organizowane przez liczne organizacje pozarządowe, sztaby ekspertów oraz instytuty badawcze, starając się stworzyć wrażenie obiektywizmu swoich sądów, stronią od powoływania się na argumenty o charakterze religijnym. Dotyczy to nawet konserwatywnych instytucji, takich jak The Heritage Foundation, The Hudson Institute lub The American Enterprise Institute, których pracownicy, w przeciwieństwie do analogicznych organizacji lewej strony spektrum politycznego, nie kryją się ze swoimi przekonaniem religijnymi.

Taka koncepcja oficjalnego wykluczenia religii z debaty politycznej nierozłącznie związana jest z prywatyzacją tego zjawiska. W teorii oznacza to, że każdy Amerykanin powinien być wolny od wpływów grup wyznaniowych, a jednocześnie mieć prawo do życia w oparciu o zasady religii, której jest wyznawcą. Innymi słowy, sfera publiczna, zgodnie z doktryną separacji państwa od Kościoła, nie może być podatna na argumentację religijną oraz korzystać z retoryki religijnej w dziedzinie promowania swoich działań.

Oddzielenie państwa od wpływów religijnych w Stanach Zjednoczonych pozostaje jednak kwestią teorii. W praktyce sprawy te mają się cokolwiek inaczej. System demokratyczny, bez względu na obiektywne zapisy poszczególnych aktów prawnych, jest żywą tkanką, która w sposób ciągły kształtuje zjawiska polityczne. Mowa tu, po pierwsze, o kwestii wyborów, gdzie wyborcy lub ich grupy o określonych przekonaniach religijnych, wywierają nacisk na polityków, a po drugie, o jakże silnym w USA społeczeństwie obywatelskim, w obrębie którego każdy Amerykanin ma prawo manifestować swoje afiliacje religijne. David Hollenbach pisze, że prywatna sfera religii ma swój wyraz właśnie w rodzinach, społecznościach lokalnych, Kościołach, związkach zawodowych, korporacjach, stowarzyszeniach, uniwersytetach etc. Religia ma zatem wpływ na proces formułowania polityki kraju i dlatego powinna mieć możliwość i wolność do wpływania na sferę publiczną i wyrażania swoich postulatów[9].

Być może słowa Hollenbacha, mówiące o prawie religii do kształtowania polityki Stanów Zjednoczonych, w tym zagranicznej, z punktu widzenia doktryny rozdziału państwa od Kościołów, budzą niepokój. Bywa bowiem, że przedstawiciele administracji podejmują

starania grania kartą retoryki religijnej. Trudno rzecz jasna orzec, czy i kiedy działanie to ma charakter celowy, a kiedy jest wynikiem przekonań, przyzwyczajęń językowych etc. Ciekawym przykładem instrumentalnego zaangażowania Boga w meandry spraw zagranicznych była upubliczniona przez Mahmuda Abbasa, prezydenta Autonomii Palestyńskiej, rozmowa z 2003 roku z prezydentem Stanów Zjednoczonych George'em W. Bushem. Prezydent USA, omawiając kwestie wojny w Iraku, miał tłumaczyć swemu rozmówcy powody dla podjęcia przez jego administrację decyzji o zaatakowaniu reżimu Saddama Husajna. Padły tam między innymi słowa o tym, że to nie kto inny, tylko „Bóg kazał mu (prezydentowi USA) zaatakować Irak”[10].

Słowa te stały się przyczyną burzliwej krytyki polityki amerykańskiej w mediach zagranicznych. Jednak w USA słowa prezydenta miały niemal odwrotny skutek. Jak pisze Jefferson Morley, europejskie gazety przyrównały prezydenta USA do ewangelickiego pastora, po którego słowach należy jedynie powiedzieć „amen.” Przytacza on także wypowiedź jednego z amerykańskich respondentów, który, proszony o komentarz, powiedział, że „skoro Bush zrobił to, co kazał mu Bóg, to dlaczego Amerykanów ma obchodzić co myśli o tym reszta świata?”[11].

Odniesienia do Boga u prezydenta George'a W. Busha nie są charakterystyczne wyłącznie dla rozmów kularowych. Przykładowo w 2003 roku w orędziu do narodu, najdonioślejszej formie komunikacji między prezydentem a wyborcami amerykańskimi, prezydent odniósł się w swojej wypowiedzi do Boga aż czterokrotnie. Prócz standardowego dla tej formuły zwrotu „i niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone”, prezydent zwrócił się do Stwórcy o pomoc dla narkomanów oraz dwukrotnie, w kontekście rozpoczynającej się

wówczas amerykańskiej interwencji zbrojnej w Iraku, oznajmił, że amerykańskie działania na rzecz obrony wartości wolności są boskim przeznaczeniem Ameryki[12].

Instrument polityczny

Można podać wiele powodów, dla których mimo, jakże cenionej przez Amerykanów, doktryny separacji państwa od Kościoła, amerykańscy politycy decydują się na odwoływanie do wartości wyższych w życiu publicznym. Bez względu na to, czy przyczyną jest wewnętrzna potrzeba, jak w przypadku „nowo narodzonego chrześcijanina” prezydenta G.W. Busha, czy może przemyślana strategia propagandowa, co w jednym z najbardziej religijnych krajów wśród państw zachodnich może przysparzać realnych korzyści wyborczych, zabieg ten nie jest niczym nowym w USA. Alexis de Tocqueville pisał, że w USA głównym zadaniem i zarazem jedną z największych zalet religii jest dostarczanie jasnej, precyzyjnej i zrozumiałej dla mas oraz trwale obowiązującej odpowiedzi na każde z podstawowych pytań[13]. W Stanach Zjednoczonych praktyka ta, mimo znacznego zróżnicowania wszelkiego rodzaju grup wyznaniowych w społeczeństwie, nie jest w żaden sposób utrudniona. Amerykanie, bez względu na zróżnicowanie, pojmują religię w sposób podobny. W znacznym stopniu przywiązują wagę do ducha zasad religijnych, a nie do ich litery[14].

Właśnie ze względu na pewne wspólne dla Amerykanów wartości, umiejętne posługiwanie się religijną retoryką w promowaniu działań administracji USA na arenie międzynarodowej okazuje się skutecznym instrumentem politycznym. Barbara Reiffer zwraca uwagę, że tradycja judeochrześcijańska wzmacnia zasadę godności człowieka, wspólnoty i

równości. Tora podkreśla, że każdy jest odpowiedzialny za dobro i bezpieczeństwo drugiej osoby (Księga Rodzaju 4:9). Tora uczy także, aby karmić tych, którzy są głodni i dbać o tych w potrzebie. Jezus nauczał, aby przyodziać nagich, nakarmić głodnych, pomagać chorym oraz udzielać schronienia bezdomnym[15]. Cała obecna amerykańska mesjanistyczna retoryka oraz koncepcja promowania demokracji oraz tzw. wartości demokratycznych na świecie jest zatem niczym innym jak świeckim opisem znanych koncepcji religijnych.

W tym kontekście, podejmując refleksję nad niewątpliwie interwencyjnym charakterem polityki zagranicznej USA, można zadać pytanie, czy wzniosłe wartości religijne oraz ich interpretacja polityczna nie stają się instrumentem agresywnego zachowania supermocarstwa? Czyż bowiem religia nie bywała i nie jest obecnie źródłem wojen, przemocy i agresji? Wielu z pewnością zgodziłoby się z takim bezkompromisowym zarzutem względem religii. Problem ten jest jednak bardziej złożony. Otóż, jak pisze William Cavanaugh, koncepcja religii jest częstokroć rozumiana w sposób mylny, jako pewne spójne zjawisko kulturowo-religijne lub ideologia. W historii mieliśmy cały szereg ideologii, religii, praktyk, instytucji etc., takich jak islam, marksizm, kapitalizm, chrześcijaństwo, nacjonalizm, konfucjanizm, amerykańizm, judaizm, liberalizm, szintoizm, hinduizm etc., z których każda w określonych warunkach wspierała agresję i przemoc[16]. W Stanach Zjednoczonych religia z pewnością jest jedną z podstaw mesjanistycznego mitu o państwie, którego zadaniem jest budowanie nowego porządku międzynarodowego w oparciu o wartości demokratyczne. Warto jednak mieć na uwadze absurdalność twierdzenia, że chrześcijańskie postulaty o, przykładowo, obowiązku pomagania innym, są przyczyną agresywnych zachowań Stanów Zjednoczonych.

Nie wszędzie, tak jak ma to miejsce w demokratycznych krajach Zachodu, mamy jednak do czynienia z wyważoną, racjonalną i subtelną relacją między religią a politycznym procesem decyzyjnym, gdzie naturalna tolerancja religijna i względny szacunek dla innych grup wyznaniowych skutecznie ogranicza aktywność fanatyków. Cavanaugh sugeruje, że istnieje wyraźna różnica między religią lub religiami Zachodu a pozostałymi wyznaniem. Ta dychotomia, bazująca na koncepcji zderzenia cywilizacji, może legitymizować użycie siły względem tych krajów, które są kontrolowane przez fanatyków. Dzieje się tak dlatego, że „przemoc” amerykańska, mimo wszystko, pozostaje pod kontrolą i wydaje się niezbędną, żeby powstrzymać przemoc na świecie[17].

Tak postawiona teza jest oczywiście dyskusyjna. Po pierwsze, stawianie jednej religii ponad inne nie stoi w zgodzie z amerykańskimi ideałami tolerancji i poszanowania innych. Po drugie, praktyka amerykańskiej polityki niejednokrotnie odbiega od moralnej jednoznaczności. Wszak obecne, podstawowe dla USA bliskowschodnie sojusze z Arabią Saudyjską, Pakistanem, Egiptem, które najogólniej należałoby nazwać despotycznymi, są żywym zaprzeczeniem retoryki krzewienia demokracji na świecie. Jednakże znaczenia słów Cavanaugha nie można także ignorować, zwłaszcza w świetle obecnych wydarzeń na arenie międzynarodowej. Czy obecnie stać bowiem tzw. społeczność międzynarodową na niereagowanie na agresywne zachowania fanatyków religijnych?

George W. Bush

Także w tym kontekście warto podkreślić, że odwołanie do Boga, religii i retoryki walki dobra ze złem od zawsze były wykorzystywane przez polityków do realizacji, a częściej do racjonalizacji konkretnych celów politycznych. Często, także w polityce amerykańskiej, wiara w Boga używana była jako narzędzie zimnej kalkulacji politycznej. Jednak w przypadku George'a W. Busha religia stanowi nie tyle środek do mobilizacji kapitału politycznego bądź prostolinijne wytłumaczenie tragicznych wydarzeń z 11 września 2001 roku, ale przede wszystkim konstytuuje autentyczną wiarę prezydenta w boże posłannictwo.

Dlatego też, chcąc zrozumieć jak i dlaczego zmieniła się polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych po 11 września, warto przeanalizować prywatny stosunek prezydenta Busha do kwestii wiary. Opierając się na autobiografii George'a W. Busha można z dużą dozą pewności napisać, że do 40. roku życia religia nie odgrywała istotnej roli w jego życiu. Wkrótce po ukończeniu 40 lat Bush postanowił zmienić to jednak w sposób znaczący. Jednym z pierwszych kroków na nowej drodze było rzucenie nałogu alkoholowego[18]. Decyzji tej towarzyszyła głębsza przemiana moralna, zainspirowana, jak Bush sam podkreśla, w czasie spotkania z Billym Grahamem, jednym z najbardziej popularnych przywódców religijnych w Stanach Zjednoczonych. To wtedy Bush „rozpoczął nową drogę, podczas której powierzył ponownie swoje serce Jezusowi Chrystusowi” i wkrótce mógł skostatować: „Wiara zmienia życie. Wiem to, ponieważ wiara odmieniła moje”[19].

Nie sposób nie docenić tej transformacji duchowej przyszłego prezydenta. Jego narodzona na nowo żarliwość religijna przeniosła się na sposób, w jaki uprawiał politykę. W polityce wewnętrznej hasłem

kampanii wyborczej Busha był współczujący konserwatyzm. Bush jako kandydat na prezydenta nie przywiązywał szczególnej uwagi do zagadnień międzynarodowych, co nie oznaczało, że nie miał własnego zdania na temat roli Stanów Zjednoczonych w świecie. Pomimo stosowania w kampanii prezydenckiej retoryki realistycznej, krytykującej administrację Clintona za humanitarny internacjonalizm, poglądy Busha na politykę zagraniczną stopniowo (niewątpliwie pod wpływem ataków terrorystycznych z 11 września) zawierały coraz więcej elementów przypominających klasyczny idealizm Wilsona[20]. Będąc już prezydentem, Bush upatrywał w wierze i sile wyższej przyczynę swojego politycznego sukcesu. „Jest tylko jeden powód, dla którego znalazłem się w Gabinetcie Ovalnym zamiast w barze. Odnalazłem wiarę i odnalazłem Boga”[21].

11 września 2001 roku umocnił on jeszcze silniej swoje przekonania religijne. W dzień po tych tragicznych wydarzeniach prezydent w przemówieniu do narodu przedstawił wojnę z terroryzmem w kategoriach walki dobra ze złem, lokując po jednej stronie barykady nie tylko Stany Zjednoczone, ale i wszystkie państwa ceniące wolność i demokrację, natomiast po drugiej – terrorystów oraz państwa udzielające im schronienia. Bush nie miał także wątpliwości, kto tę walkę wygra:

„Wolności i demokracja zostały zaatakowane...Wróg ten zaatakował nie tylko nasz naród, ale wszystkich ludzi ceniących sobie wolność... To będzie monumentalna walka dobra ze złem. I dobro zwycięży”[22].

W ten sposób walka z terroryzmem miała osiągnąć skalę globalną, a jej charakter został określony w kategoriach religijno-moralnych. Stany Zjednoczone miały przewodzić innym krajom w walce o tyle słuszną, co i utopijną sprawę: „Nasza odpowiedzialność wobec historii jest już jasna: odpowiedzieć na te ataki i wyeliminować zło z tego świata”[23].

Stopniowo administracja Busha opracowywała strategię bezpieczeństwa narodowego, w której wątki religijny i mesjanistyczny były doskonale widoczne. Celem tej strategii było „pomóc uczynić świat nie tylko bezpieczniejszym, ale i lepszym”. Dla prezydenta Busha wojna z terroryzmem stanowiła imperatyw moralny. Zgodnie z tą wizją Stany Zjednoczone miały za sobą nie tylko wsparcie ludzi, ale i Boga. Najtrafniej ten pogląd obrazuje fragment przemówienia prezydenta Busha w Kongresie z 20 września 2001 roku:

„Przebieg tego konfliktu pozostaje nieznany. Ale jego rezultat pewny. Wolność i strach, sprawiedliwość i okrucieństwo, zawsze były ze sobą w sprzeczności, i wiemy, że Bóg nie pozostaje neutralny wobec nich”[24].

Mając Boga po swojej stronie, administracja Busha przystąpiła nie tylko do prewencyjnego zwalczania wyłaniających się zagrożeń, ale ogłosiła, że aby zagwarantować bezpieczeństwo Stanom Zjednoczonym, należy ustanowić porządek międzynarodowy, który służyłby interesom Amerykanów. W myśl zasady, że co jest dobre dla Stanów Zjednoczonych, jest także dobre dla świata, prezydent Bush zastosował politykę promocji i szerzenia demokracji w najbardziej zapalnym i strategicznie newralgicznym miejscu na ziemi – na Bliskim Wschodzie.

Mesjanizm

Postulat transformacji innych społeczeństw na wzór i podobieństwo swoje nie stanowi żadnego novum w amerykańskiej tradycji politycznej. Wiara w specjalne posłannictwo i objawione przeznaczenie (*manifest destiny*) towarzyszyła osadnikom dzisiejszych ziem amerykańskich od początku kolonizacji w XVII wieku. Od czasów „miasta na wzgórzu” Johna Winthropa wyjątkowość eksperymentu amerykańskiego rozszerzana była terytorialnie. W czasach kolonialnych Atlantyki był często postrzegany jako granica oddzielająca nowy, dobry świat od starego, naznaczonego złem i niegodziwością. Wraz z ekspansją kontynentalną w XIX wieku, Stany Zjednoczone stopniowo rozszerzały swoje posłannictwo i misję na cały kontynent amerykański. „Naszym oczywistym przeznaczeniem – pisał John Louis O’Sullivan w 1845 roku – jest zajęcie kontynentu przydzielonego nam przez Opatrzność dla swobodnego rozwoju naszych corocznie mnożących się milionów”[25]. XX wiek przez wielu ekspertów słusznie nazywany stuleciem Ameryki, wyniósł Stany Zjednoczone na piedestał polityki międzynarodowej. Geograficzna odległość od teatrów dwóch okrutnych wojen światowych oraz ogromny potencjał gospodarczy pozwoliły Stanom Zjednoczonym na wzmocnienie swojej pozycji w świecie i jednocześnie zdawały się potwierdzać amerykańską wyjątkowość. Zwycięstwo w zimnej wojnie zasygnalizowało Amerykanom i reszcie świata, że nie istnieje *de facto* żadna ludzka siła mogąca zagrozić amerykańskiej potędze.

Można zapytać: co wynika z amerykańskiego mesjanizmu i jakie konsekwencje pociąga za sobą polityka zagraniczna oparta na przekonaniu o absolutnej słuszności metod i celów? Czy droga, jaką

przebyły Stany Zjednoczone od małego narodu do światowego hegemonu w niewiele ponad 200 lat nie okaże się paradoksalnie zgubna dla tego kraju? Innymi słowy: czy ta ewolucja z Nowego Jeruzalem do Nowego Rzymu nie popchnie Stanów Zjednoczonych w stronę polityki imperialnej, której smutną konsekwencją jest wcześniejszy upadek?

Odpowiedzi na te pytania można odnaleźć u styku rozsądnej polityki zagranicznej i retoryki religijnej. Religia odgrywa i będzie odgrywać bowiem ważne miejsce w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych tak długo, jak społeczeństwo amerykańskie pozostanie najbardziej religijnym spośród społeczeństw zachodnich. Dominującą pozycję w świecie Stany Zjednoczone będą mogły utrzymać jednak tylko, jeśli swoją tradycyjną misyjność w polityce zagranicznej będą w stanie połączyć z inną amerykańską tradycją – przywództwa poprzez dawanie dobrego przykładu innym państwom oraz raczej proponowania niż narzucania porządku międzynarodowego[26]. Jeśli te dwie pozornie sprzeczne tradycje uda się odpowiednio wyważyć i pogodzić, to, posługując się obrazową frazą Reinholda Niebuhra, Stany Zjednoczone będą mogły w przyszłości „stanąć w gotowości do wypełnienia swojej misji i poprowadzenia ludzkości w wędrówce do perfekcji”.

Witold Dzielski, Wojciech Michnik

Tekst z 4. numeru Teologii Politycznej

[1] George W. Bush, *Odezwa do narodu*, Waszyngton, DC 2003, <http://www.whitehouse.gov/news/releases/2003/01/20030128-19.html>.

[2] Walter A. McDougall, *Religion in Diplomatic History*, „American Diplomacy”, tom VI, no. 3, 2001.

[3] Szerzej na temat roli religii w przestrzeni publicznej w USA: Berndt Ostendorf, *Religia i sfera publiczna w USA*, „Teologia Polityczna”, nr 2, 2004–2005.

[4] Walter A. McDougall, *The Colonial Origins of American Identity*, „Orbis”, Winter 2005, s. 7.

[5] W przeprowadzonym co 10 lat spisie powszechnym nie zadaje się pytań o status religijny Amerykanów. Natomiast, według wyników ostatnich badaniach przeprowadzonych przez uczelnię baptystów Baylor University, 82% Amerykanów to chrześcijanie, a 90% wierzy w Boga lub w inną wyższą siłę. Według tych badań tylko 5% przyznaje się do ateizmu, a 19% zgadza się ze stwierdzeniem, że Bóg sprzyja Stanom Zjednoczonym w polityce międzynarodowej. Dane za: *American Piety in the 21st Century: New Insights to the Depths and Complexity of Religion in the U.S.*, <http://www.baylor.edu/content/services/document.php/33304.pdf>. Por. komentarz do tych badań: „The Economist”, 16–22 września 2006 r., s. 53–54, Mark D. Tooley, *God is Back!*, <http://www.weeklystandard.com/Content/Public/Articles/000/000/012/724ddkgc.asp>.

[6] Podział przytoczony za: Walter Russell Mead, *God's Country?*, „Foreign Affairs”, September/October 2006, <http://www.foreignaffairs.org>.

[7] „The Economist”, 16–22 września 2006 r., s. 54.

[8] Alexis de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, Fundacja Aletheia, Warszawa 2005, s. 416.

[9] David Hollenbach, *The Global Face of Public Faith*, Georgetown University Press, Waszyngton, DC 2003, s. 155.

[10] *Palestinian: Bush said God guided him on war*, <http://www.msnbc.msn.com/id/9618531/>.

[11] Jefferson Morley, *Is God an American Voter? Conservative Pundits Question Bush's Religious Appeals*, <http://www.washingtonpost.com>, 26 października 2004 r.

[12] George W. Bush, *Odezwa do narodu*, Waszyngton, DC 2003, <http://www.whitehouse.gov/news/releases/2003/01/20030128-19.html>.

[13] Alexis de Tocqueville, *O demokracji...*, *op. cit.*, s. 412.

[14] Tamże, s. 416.

[15] Barbara Ann Reiffer, *Religion, Politics and Human Rights: Understanding the Role of Christianity in the Promotion of Human Rights*, University of Denver, Denver 2006, s. 36.

[16] William T. Cavanaugh, *The Violence of Religion: examining a prevalent myth*, Kellogg Institute, Notre Dame 2004.

[17] Tamże.

[18] George W. Bush, *A Charge to Keep*, William Morrow, New York 1999, s. 132–134.

[19] Tamże, s. 136 i 139.

[20] Krytycy porównania Busha z Wilsonem zdają się zapominać, że idealizm Wilsona był głęboko zakorzeniony w jego poglądach religijnych. Pomimo znacznych różnic w podejściu do spraw wiary, zarówno Bush, jak i Wilson wierzyli, iż Bóg powierzył im szczególnie ważną rolę do odegrania. Szerzej na ten temat: Elizabeth Edwards Spalding, *True Believers*, „Wilson Quarterly”, Spring 2006, Vol. 30, Issue 2.

[21] David Frum, *The Right Man*, Random House, New York 2003, s. 283. Cyt. w: Andrew J. Bacevich, Elizabeth H. Prodromou, *God Is Not Neutral: Religion and U.S. Foreign Policy after 9/11*, „Orbis”, Winter 2004.

[22] *Public Papers of the Presidents, George W. Bush – 2001*, Volume 2, GPO, *Remarks Following a Meeting with the National Security Team*, September 12, 2001, s. 1100.

[23] President Bush, *Remarks at National Day of Prayer and Remembrance*, The National Cathedral, Waszyngton, 14 września 2001 r.; www.whitehouse.gov, 20 września 2006 r.

[24] George W. Bush, *Address Before a Joint Session of the Congress on the United States, Response to the Terrorist Attacks of September 11*, September 20, 2001, [w:] *Public Papers of the Presidents, George W. Bush – 2001*, Volume 2, GPO, s. 1142.

[25] Cyt. za: George B. Tindall, David E. Shi, *Historia Stanów Zjednoczonych*, Zysk i S-ka, Poznań 2002, s. 500.

[26] O ile w czasach zimnej wojny Stany Zjednoczone ograniczały się do obrony „wolnego świata”, o tyle po jej zakończeniu zmieniły swoją politykę zagraniczną dążąc do pełnej transformacji porządku międzynarodowego. Jonathan Clark, *Liberty and Religion: The End of U.S. Exceptionalism?*, „Orbis”, Winter 2005, s. 34.